

Scena z kart

Nie wiem dokładnie dla ilu, ale przypuszczam, że dla całkiem sporej grupy osób najważniejszym wydarzeniem marca w dziedzinie sztuk widowiskowych nie była żadna premiera teatralna, koncert muzycznej gwiazdy ani nawet oscarowy film, ale pojawienie się na obecnej już w Polsce platformie Netflix kolejnego, czwartego sezonu "House of Cards" - pisze Dariusz Kosiński.



Niewtajemniczonym (są tacy?) pospieszam wyjaśnić, że jest to cieszący się ogromną popularnością i uznaniem serial z gatunku political fiction o przebiegłym i bezwzględnym polityku amerykańskiej Partii Demokratycznej, który robi błyskawiczną karierę, dochodząc do najwyższego stanowiska w państwie. Grany rewelacyjnie przez Kevina Spaceya i towarzyszącą mu równie świetną (a o wiele ładniejszą) Robin Wright "Domek z kart", już po pierwszym sezonie nie tylko zdobył

popularność, ale też wpłynął na sposób widzenia polityki. Bohater serii, Frank Underwood stał się wręcz uosobieniem tego, jak o niej myślimy. Jego kłamstwa i zbrodnie usprawiedliwane są skutecznością, która ma być podstawową zaletą, jeśli nie cnotą, polityka. Jego zaś najważniejszym, wręcz jedynym celem jest utrzymanie się jak najdłużej przy władzy, będącej w świecie serialu wartością samą w sobie. Underwood nie walczy o jak najwyższą pozycję dla pieniędzy. Nie podlega właściwie żadnym zewnętrznym wpływom, nie jest niczym agentem, nic też nie wiadomo o jakichś lobbystach, w imieniu których miałby wpływać na amerykańską politykę. Jego niemal wirtuozowski - zwłaszcza w pierwszym sezonie - sposób prowadzenia politycznych gier i intryg jest narzędziem służącym tylko do jednego: zdobycia i utrzymania jak największej władzy dla niej samej.

W recepcji "House of Cards", obok przedstawiania Franka jako mistrza skuteczności (w trakcie pierwszego sezonu w polskiej prasie pojawiały się komentarze wyrażające wręcz żal, że nie mamy "polskiego Underwooda"), często występują też opinie, że oto ukazano nam wreszcie świat wielkiej polityki bez osłonek i upiększeń. Takie oceny wydają mi się naiwne. Gdyby obraz walk politycznych na szczytach władzy wyglądał właśnie tak, zapewne nigdybyśmy go nie poznali, bo w interesie władzy byłoby niedopuszczenie do jego ujawnienia na tak masową skalę. Myślę wręcz, że popularność i uznanie dla tej produkcji ze strony polityków wynika przede wszystkim z tego, że serial prezentuje ich marzenie na temat wpływu, jaki mają na rzeczywistość oraz niezależności w podejmowaniu decyzji. Underwood oczywiście działa w relacji do wielu innych "aktorów" i musi się liczyć z kontrakcjami (niekiedy zaskakującymi nawet jego), ale koniec końców podejmuje swoje decyzje samodzielnie. Jest zbrodniarzem, ale jest zarazem człowiekiem woli, sprawcą wydarzeń, nie zaś kimś, kto jedynie na nie reaguje, lub - co gorsza - firmuje je tylko własną twarzą i nazwiskiem. Aktorstwo polityczne Underwooda nie polega na tym, że reprezentuje reżyserów ukrytych w mniej lub bardziej głębokim cieniu i realizuje z przekonaniem scenariusze napisane przez innych. Odnosi się ono do szlachetnego staropolskiego rozumienia słowa aktor, które znaleźć można w słowniku Samuela Lindego, gdzie słowo to oznacza osobę czynnie wykonującą coś, biorącą udział w jakimś działaniu. O takim nieteatralnym, niefikcyjnym, nieiluzyjnym, ale realnym aktorstwie i autorstwie marzą najwyraźniej politycy, a Frank Underwood to marzenie dzięki mistrzostwu Kevina Spaceya doskonale ucieleśnia. Paradoksalnie ten demaskatorski serial nie obnaża świata polityki, ale ubiera go w wyprojektowane marzenie polityków o ich sprawczości i skuteczności. Zależni i nieskuteczni, śnią o władzy i woli, a my najwyraźniej śnimy razem z nimi i z chęcią wierzymy, że "prawdziwa" polityka wygląda właśnie tak, że gdzieś tam jest coś innego niż ten niewydarzony musi-hall, którego numery serwują nam codziennie telewizje informacyjne. Sami nim znudzeni i zmęczeni, najwyraźniej jesteśmy gotowi zgodzić się nawet na cynicznego zbrodniarza, byle tylko mieć wrażenie, że ktoś nad rzeczywistością panuje, podejmie za nas decyzje i przyjmie odpowiedzialność, która potem na niego z ulgą zrzucimy.

Nie ukrywam, że czwarty sezon "House of Cards" obejrzałem niemal w całości tuż po udostępnieniu przez Netflix całej serii. Nie będę oczywiście psuł Państwu przyjemności oglądania i postaram się niczego nie zdradzić. Chciałbym jednak na potrzeby tego felietonu

wydobyć jeden wątek, bez ujawniania jego szczegółów i okoliczności. W pewnym momencie skomplikowanej intrygi Frank dość niespodziewanie decyduje się na zorganizowanie widowiskowego wydarzenia politycznego. Zaskoczonych współpracowników pyta: czym jest dziś polityka? I zaraz odpowiada: jest wielkim show! Więc zainscenizujemy przedstawienie, a natychmiast wszystko inne zejdzie na dalszy plan. Strategia jest świetnie znana także z naszego podwórka. Widowisko polityczne, zwłaszcza jeśli uda się je tak zorganizować, by zawierało element dramatycznej rywalizacji, natychmiast przyciąga uwagę mediów, a za nimi publiczności. Nie tak dawno (choć dziś wydaje się, że wieki temu) użyła tego sposobu działania Platforma Obywatelska organizując partyjne przed kampanią prezydencką partyjne prawybory, w których rzekomo rywalizowali Radosław Sikorski i Bronisław Komorowski (pamięta to ktoś jeszcze?). Było właściwie jasne, że jest to czyste show, od którego żadna realna decyzja nie jest zależna, ale przez kilka tygodni media i ich widzowie włączyli się w obserwację tego rzekomego wyścigu, ulegając dramaturgii wyścigu i sile widowiska.

Underwood robi niemal to samo, bardzo zręcznie sterując przebiegiem wydarzeń w taki sposób, by osiągnąć cel całkowicie odmienny od tego, jaki publicznie deklaruje. Wydaje się też doskonale panować nad sytuacją, która rozwija się zgodnie z jego oczekiwaniami. Ale tylko do czasu. Dramat i przedstawienie ma bowiem to do siebie, że nigdy nie można przewidzieć, czy nie wydarzy się w jego trakcie coś, co zmieni przebieg wydarzeń, czy wszyscy wykonają swoje role zgodnie z oczekiwaniami, czy nie pojawi się gracz, który zniweczy plany i przejmie scenę. I to właśnie przytrafiło się politycznemu arcysprawcy z Waszyngtonu. Przedstawienie zaczęło wymykać się spod kontroli. Aktorzy zmieniali kwestie. Tłum skandował nie te hasła. Widownia z rosnącym zadowoleniem zaczynała oklaskiwać zrzucanie z piedestału pierwszoplanowych gwiazd. Na przypominającej buldoga twarzy Franka Underwooda zaczęło się pojawiać napięcie, a pewny siebie uśmiech zbladł...

Nie zdradzę może zbyt wiele, gdy powiem, że koniec końców za cenę ryzyka (i jednej z najwspanialszych aktorsko scen całej serii) władca "domku z kart" poradził sobie z sytuacją i odzyskał panowanie nad widowiskiem. Ale mam wrażenie, że już więcej z taką łatwością i lekkością nie zdecyduje się uruchomić politycznego show...

Bo widowisko, proszę Pań i Panów, którzy marzycie, by być jak Claire i Frank, ma to do siebie, że poza aktorami, reżyserami i widownią działa w nim jeszcze coś, czego nie kontroluje nikt. Można to nazwać Międzyludzkim. Można "autopojetyczną pętlą feedbacku". Wszystko jedno. Znaczenie ma tylko to, że poza władzą naszą, waszą czy onych zawsze istnieje w nim jeszcze ta nieznana siła, która sprawia, że wszystko zaczyna się niewinnie, a następnego dnia nie ma już Bastylii.